

A V A R E E D



High Hopes

SZPITAL WHITESTONE



A V A R E E D

High Hopes

SZPITAL WHITESTONE

TOM 1

Z NIEMIECKIEGO PRZEŁOŻYŁA
EMILIA SKOWROŃSKA



TYTUŁ ORYGINAŁU:

High Hopes

Whitestone Hospital #1

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Maria Mazurowska

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Ewa Popielarz

Projekt okładki: Jeannine Schmelzer, Bastei Lübbe AG

z wykorzystaniem motywów z © Stock.Adobe.com: FlammaChe, HstrongART

oraz ilustracji autorstwa © Jeannine Schmelzer

Wyklejka: © babeer, © jenesesimre / Stock.Adobe.com

Opracowanie graficzne okładki: Wojciech Bryda

DTP: Maciej Grycz

Whitestone Hospital – High Hopes

Copyright © 2022 by Bastei Lübbe AG, Köln

Copyright © 2024 for the Polish edition by Papierowe Serca an imprint
of Wydawnictwo Kobiعة Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Emilia Skowrońska, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-350-2

Grupa Wydawnictwo Kobiعة | www.WydawnictwoKobiعة.pl



ROZDZIAŁ 1



Laura

– A teraz otwórz ten głupi list. Inaczej będę musiała jechać na lotnisko i wsiadać do samolotu, Lauro Elizabeth Collins! Jest piąta rano, a za cztery godziny odbędzie się ważna sesja zdjęciowa.

Krzywię się, na wpół rozbawiona, na wpół zrozpaczona, podczas gdy Jess wpatruje się we mnie z otwartego czatu wideo na Skypie. Przykro mi, że ją obudziłam, ale musiałam się z nią zobaczyć i pogadać. Potrzebowałam trochę tej beztroskiej pewności siebie, jaką Jess zawsze mi daje.

– No weź. Czego się boisz? – dorzuca, a ja niemal czuję jej lekkie pchnięcie w ramię; gdyby była tu ze mną, z pewnością by to zrobiła.

– Szczerze mówiąc... to tego, że wrócisz do Kalifornii z Berlina tylko po to, by skopać mi tyłek.

Moja starsza siostra uśmiecha się złośliwie, przeciera oczy, a potem bardzo głośno wzdycha.

– No już. Dajesz. Zrób jak z plastrem: policz do trzech, a potem trach! Rozrywasz go szybko i bezboleśnie. Na pewno cię przyjęli.

Powstrzymuję się od zwrócenia jej uwagi, że plastry się zrywa, a nie rozrywa. Zamiast tego obracam kopertę w jedną i drugą stronę, zaczynam się nią bawić i zastanawiam się, czy poradzę sobie z czekającą na mnie w środku odpowiedzią. Jedna część mojej ścieżki jest już ustalona, nie wiem tylko, w którą stronę będzie ona prowadzić. To dość dziwne uczucie.

– A jeśli nie? – pytam z roztargnieniem. A jeśli mnie nie przyjmą? Jeśli nie będę mogła pojechać do miejsca, do którego chciałam się udać od lat?

– Skarbie, ukończyłaś studia jako trzecia studentka na roku i zostałaś przyjęta do dwóch najlepszych szpitali w kraju. I teraz czeka na ciebie to wszystko, na co tak cholernie ciężko pracowałaś.

Mój wzrok pada na leżące na stoliku nocnym listy z Filadelfii i Baltimore. Dostałam potwierdzenie z Johns Hopkins. Na samą myśl o tym, że nie umiem się z tego cieszyć, czuję się jak niewdzięczny, rozpieszczony bachor. Ale jednocześnie jestem bardzo wdzięczna. Zrobiłam wszystko, by z jak najlepszymi ocenami ukończyć Stanford University School of Medicine i zostać dobrą lekarką. Przez wszystkie te lata pokonywałam wszelkie przeszkody, nie tylko podczas studiów, lecz także później, pisałam różne listy motywacyjne, przetrwałam proces selekcji i naprawdę się poświęcałam. Teraz jest koniec marca, pierwsze odpowiedzi już dawno dotarły – w tym ta,

na którą od tak dawna czekałam. Ale od kilku dni nie mogę zebrać się na odwagę, by otworzyć tę kopertę.

– Mama i tata poznali się w Phoenix, na konferencji medycznej – mówię półszeptem, choć Jess przecież o tym wie, i głośno przełykam ślinę. – To nie kwestia szpitala, ale miejsca. Ja... nie potrafię pozbyć się uczucia, że w ten sposób mogę być trochę bliżej nich. I boję się, że jeśli nie uda mi się tam dostać, stracę ich po raz drugi.

– Wiem.

Nie tylko ja mam teraz gulę w gardle, Jess również jest bliska płaczu. Doskonale słyszę to w jej głosie i natychmiast zaczynam żałować, że zadzwoniłam do niej pomimo dziewięciogodzinnej różnicy czasu. Że nie tylko ją obudziłam, ale i nie pozwałam jej zasnąć w San Francisco. A do tego przypominam o tym, co zdecydowanie zbyt wcześnie straciłyśmy. Kogo straciłyśmy. – Dlatego zadzwoniłaś do mnie, a nie do Logana.

Kiwam nieznacznie głową, ale wiem, że i tak to widzi.

Logan nas kocha, a my kochamy jego, ale nasz młodszy brat stara się możliwie jak najrządziej wracać do sprawy taty i mamy. Cierpi do tego stopnia, że wołałby o nich zapomnieć. Nawet jeśli został policjantem tylko ze względu na naszych rodziców, aby móc choć trochę walczyć z niesprawiedliwością i nienawiścią, i tak by mnie nie zrozumiał. Albo nie chciałby zrozumieć. A już z pewnością nie przyznałby, że jest cholernie do mnie podobny.

– Lauro, zaszłaś tak daleko. A ja zaakceptowałam to, że jesteś jak ona. Że chcesz sobie to zrobić. Poszłaś na medycynę i nawet myślisz o wyjeździe do Afganistanu, Syrii i innych krajów, aby pomagać ludziom. Tak jak nasi rodzice. Tak, pogodziłam się z tym. Chcę, żebyś był szczęśliwa i... Jestem

z ciebie dumna. Niezależnie od tego, co napisano w tym liście. – Jess oddycha głęboko i kontynuuje cicho delikatnym głosem: – Mama i tata też by byli. – Podnoszę wzrok i widzę, jak szybko ociera łzę z kącika oka, po czym się do mnie uśmiecha. – I jestem pewna, że przekłębiliby mnie za to, że cię nie powstrzymałam.

Śmieję się razem z nią, czuję pieczenie w oczach – i po raz pierwszy, odkąd list trafił do mojej skrzynki, przestaję się bać.

Jess zasłania usta dłonią i ziewa, a moje wyrzuty sumienia rosną.

– Przepraszam, nie chciałam cię obudzić i...

– Przestań. Wszystko w porządku – przerywa mi i łapie się za serce. – Chciałabym być teraz z tobą. Ale za niecałe osiem miesięcy wracam.

– Dziękuję, Jess.

– Zawsze do usług. – Wskazuje kopertę. – To jak? Otworzysz ją teraz?

– Chyba tak. Ale podjadę z tym do Josha.

– Co? Nie rób mi tego. To nie w porządku.

– Gdy tylko poznam wyniki, natychmiast do ciebie napiszę.

Wpatruje się we mnie z mieszaniną ciekawości i niedowierzania. A potem wzdycha i przeczesuje palcami swoje długie blond włosy. Zaczyna pojmować, że nie zadzwoniłam do niej tylko dlatego, że mnie rozumie, lecz także dlatego, że za nią tęsknię. Bo mi jej brakuje. Bo brakuje mi naszych rodziców. Zadzwoniłam do niej z cholernie wielu powodów, ale nie dlatego, że chcę, by była przy otwarciu listu. Nie bardzo mam na to ochotę.

– Dobrze. Ale radzę ci o mnie nie zapominać.

– Nigdy!

– Tak jak w zeszłym roku, kiedy wyprowadziłaś się z mieszkania studenckiego i nagle wynajęłaś własne lokum w San Francisco? Kiedy dostałaś wyniki egzaminów? Kiedy zaczęłaś pracę na pół etatu i prowadziłaś seminaria z pierwszej pomocy? Albo kiedy zmarł Eddie? – Odlicza na palcach każde z wydarzeń, o których za późno jej powiedziałam.

– Wiesz, że nie zostanę tu długo. To z powodu Josha. Poza tym o wszystkim innym cię poinformowałam!

– Tak, pół wieku później. Tę pracę wykonujesz już od kilku tygodni, a nasz żółw nie żył od trzech miesięcy. Wspomniałaś o tym dopiero, gdy zapytałam o niego tuż przed świętami.

Krzywię się.

– W porządku, rozumiem. Robię sobie notatkę na telefonie komórkowym. Zadowolona?

Jess uśmiecha się bezczelnie i ponownie głośno ziewa.

– I to bardzo.

No dobrze, notatka zapisana. Jutro rano moja komórka mi o niej przypomni.

– Śpij dobrze, siostrzyczko. I powodzenia podczas zdjęć.

– Modlę się, żeby przespać jeszcze godzinę i nie zapomnieć aparatu. Miejmy nadzieję, że przynajmniej modele będą wypoczęci. – Kiedy pokazuje mi język, kręcę głową z rozbawieniem i kończę rozmowę. Strasznie tęsknię za siostrą i nie mogę się doczekać, kiedy znów ją zobaczę. W realu, tuż przed sobą, a nie na ekranie.

Gdy zamykam laptopa, rozlega się zdecydowanie zbyt głośne stuknięcie, a potem jest już tylko cisza. Czasami ją lubię, czasami to dla mnie za dużo. Jest o wiele za głośna, przytłacza mnie. Jak teraz. Kiedy nie mam wyboru i muszę słuchać myśli, których nie mam ochoty wysłuchiwać.

Jest dopiero dwudziesta, a ja siedzę tutaj w swoim małym mieszkaniu i jestem już przebrana do snu. W piątkowy wieczór. Zwykle to dla mnie żaden problem, ale dzisiaj kiepsko się z tym czuję. Jednocześnie lubię, gdy jest przytulnie, a podczas studiów nie miałam wystarczająco dużo czasu na sen, relaks, jedzenie i niestety – robienie zdjęć i czytanie. I mam tu na myśli beletrystykę lub poezję, a nie grube tomiska wypełnione wszystkimi ważnymi informacjami o ludzkim ciele. Ogólnie rzecz biorąc, studiowanie medycyny pochłonęło prawie całe moje prywatne życie.

Aż dziw, że Josh i ja zdołaliśmy utrzymać nasz związek.

Poznaliśmy się na pierwszym semestrze studiów na Stanford, a na drugim zostaliśmy parą. Nie wiem, czy byłoby łatwiej, gdyby nie zmienił kierunku. Nie spełniał się tak dobrze w medycynie jak ja. Choć miał naprawdę niezłe oceny i wydawało mu się, że chce się zajmować właśnie tym, po prostu mu to nie pasowało. Zawód lekarza uniemożliwia zakończenie pracy o konkretnej godzinie, nie mówiąc już o załatwianiu jakichkolwiek spraw, ponieważ odpowiedzialność i wysiłek są po prostu zbyt duże.

Dlatego po drugim semestrze Josh rozpoczął studia prawnicze, ale i na nich za długo nie wytrzymał. Wymagały zbyt dużego wysiłku. Ciągnęło go do miasta, z dala od Stanford. Wybrał uniwersytet stanowy San Francisco State, gdzie obecnie studiuje ekonomię; skończy ją za kilka miesięcy. To dla niego przeniosłam się tutaj z kampusu zaraz po głównych egzaminach. Dzięki temu będę mogła być blisko Josha chociaż przez kilka miesięcy, zanim zacznę pracę w charakterze rezydentki.

Ponieważ nie zamierzam tu zostać, Kalifornia zawsze była dla mnie tylko etapem – nigdy nie miała się stać domem. Josh

jest tego świadomy. Powiedziałam mu o tym niemal na samym początku naszej relacji. Zawsze powtarzał, że damy sobie radę i wszystko jakoś się ułoży. Ale załóżę się, że do dzisiaj się z tym nie pogodził.

Josh zawsze robi plany tylko do końca tygodnia. Kiedyś co prawda zasugerował, że pojedzie za mną nawet na koniec świata, ale nie wiem, czy mówił poważnie, a jeśli tak, to czy mam prawo go o to poprosić. On kocha to miasto.

Nie wiem też, czy nasz związek na odległość ma szansę na przetrwanie. Ani czy w ogóle tego chcę.

Ponieważ jednak Josh nie wykazuje żadnych oznak niepokoju, postanowiłam na razie się tym nie przejmować. Nawet jeśli to dla mnie cholernie trudne – i wciąż zadaję sobie pytanie, czy to właśnie jego potrzebuję w swoim życiu. Stanowi jego część od tak dawna, że dziwnie jest wyobrażać sobie to wszystko bez niego.

Dziś wieczorem Josh znowu musi uczyć się do zbliżającego się egzaminu, a ja powiedziałam, że nie mam nic przeciwko temu, choć nie widzieliśmy się od tygodni. Nie tylko ze względu na jego obciążenie nauką, lecz także dlatego, że ostatnio nie mam nastroju. Dzieje się tak trochę za często.

Po raz kolejny moje spojrzenie wędruje do koperty, którą ścisnęłam teraz zimnymi, spoconymi palcami. Następnie podnoszę telefon komórkowy, leżący obok laptopa na mojej słonecznej, żółtej narzucie, i piszę do Josha:

Cześć. Mam nadzieję, że robisz postępy? Wiem, że nie umawialiśmy się na dzisiaj, ale pomyślałam, że może przydałaby ci się mała przerwa? I sushi. Nie zostanę długo, po prostu... przyszedł list. Już kilka dni temu. Chciałabym otworzyć go z tobą.

Ale spontan. Śmieję się sama z siebie. Spontaniczność to coś, co do tej pory niekoniecznie było jedną z moich mocnych stron, ale od czasu do czasu niespodziewanie mnie nachodzi. Czasami czuję się jak jedna wielka sprzeczność. Coś jak równanie, którego nie można rozwiązać, ale i tak ma sens. Nie jestem doskonała. I nie widzę w tym problemu.

Czekając na odpowiedź, wyczołguję się z łóżka i kładę list oraz telefon komórkowy na komodzie w przedpokoju. Josh na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, żebym na chwilę do niego wpadła. Nie mieszka zbyt daleko ode mnie, a po drodze mogę bez problemu kupić jedzenie. Na Grant Ave jest jeden z najlepszych barów sushi, jakie znam.

Znikam więc w łazience, rozplątuję warkocz i rozczesuję włosy.

Przeglądam się swojemu odbiciu w okrągłym lustrze nad starą ceramiczną umywalką i powoli przekręcam głowę z lewej strony na prawą. W łazienkowym oświetleniu moje niebieskoszare oczy wydają się ciemniejsze niż w rzeczywistości. Blond włosy opadają falami na ramiona aż do obojczyka. To niecodzienny widok, bo wolę, jak są wyprostowane, ale dziś przez cały dzień były zaplecione. Ten obraz przypomina mi mamę. O wiele za bardzo. I choć strasznie ją kochałam, choć bardzo za nią tęsknię, wciąż nie mogę go znieść. Przynajmniej nie za często. Nawet po tylu latach.

Przełykam z trudem ślinę, po czym upinam włosy w schludny kok i szybko schładzam twarz zimną wodą. Zanim przebiorę się z piżamy w coś, w czym będę mogła wyjść z domu, rzucam okiem na komórkę. Zaraz padnie mi bateria.

– Cholera – mamroczę i szukam przeklętego kabla do ładowania. Wczoraj leżał gdzieś tutaj, na komodzie. Nigdy nie

mogę go znaleźć, gdy jest potrzebny. To tak jak z tymi wszystkimi gromadzącymi się przez cały czas drobnymi sprawami. Zawsze się je odkłada i myśli: Później to załatwię. A potem to „później” zamienia się w tygodnie, potem w „Och, to ciągle tu leży”, aż wreszcie w którymś momencie w „Teraz to i tak nie ma już znaczenia”.

Wydaję z siebie jęk i patrzę na łóżko, szafkę nocną i półkę z aparatami, książkami i starymi rodzinnymi zdjęciami. Zawsze jednak utrzymuję tę część pokoju w takim porządku, że jeden rzut oka wystarczy, by zdać sobie sprawę, że nie znajdę tu kabla. Na chwilę staję w przestrzeni wypoczynkowej, którą od salonu oddziela jedynie niewielki bambusowy parawan, i łapię się pod boki. Zaczynam obracać się wokół własnej osi i omiatać spojrzeniem każdy kąt pokoju. Zasłane łóżko, na którym pościel nadal jest pognieciona, mały stolik, puszysty dywan przed nim, kredens. Cholera, zaglądam nawet pod łóżko, chociaż tak naprawdę nigdy nie znalazłam pod nim nic poza kurzem i spinkami do włosów. W salonie też nic nie ma, a w kuchni leży tylko sterta naczyń, bo w zeszłym tygodniu popsuła mi się zmywarka.

Przecież nie mogę spędzić całego wieczoru na szukaniu kabla...

Zostało mi jeszcze sześć procent baterii i nadal nie dostałam żadnej wiadomości od Josha. Poczekam, aż komórka padnie, wtedy pójde po nowy kabel, sushi i odwiedzę swojego chłopaka. Jeśli nie będzie miał czasu lub moja wizyta nie będzie mu pasować, na pewno mi o tym powie, a ja przynajmniej zaliczę miły wieczorny spacer.

Biorę więc telefon do łazienki, kładę go na umywalce i smaruję twarz kremem. Trochę tuszu do rzęs, mgiełka perfum i od razu czuję się lepiej.

Ekran aparatu się rozświecila, widzę to kątem oka i natychmiast po niego sięgam. Za szybko, zbyt chaotycznie. Komórka się ześlizguje, niezgrabnym ruchem próbuję ją złapać, co w pomieszczeniu wielkości pudełka na buty wcale nie jest proste. Wręcz przeciwnie.

Telefon spada.

Do toalety.

Rozlega się głośny plusk, po którym następuje cichy bulgot, co sprawia, że zamieram z szeroko otwartymi ustami i kompletnie zdumiona wpatruję się w otchłań muszli sedesowej.

– Nie, nie, nie... – zaczynam szeptać, a z każdą sylabą czuję coraz większą desperację.

Aż wreszcie, gdy w pełni zdaję sobie sprawę z tego, co się właśnie stało, wpadam w panikę i wkładam rękę do wody, aby uratować telefon. Czuję się przy tym, jakbym przeprowadzała badanie odbytu u krowy. Nie mam pojęcia, jakie to uczucie, być może krowi odbył jest ciaśniejszy i cieplejszy, ale z pewnością tak samo śliski i mokry. Zresztą to bez znaczenia. Jako lekarka nauczyłam się szybko odsuwać na bok podobne wątpliwości. Woda stojąca w moim starym kiblu nie powstrzymuje mnie przed ratowaniem życia. W tym przypadku życia mojego smartfona, którego wyświetlacz gaśnie dokładnie w sekundzie, w której go dotykam. Prawie tak, jakby chciał mi powiedzieć, że się spóźniłam, zawiodłam.

Świetnie. Naprawdę świetnie.

– O w dupę! – przeklinam, a gdy trzymam w rękach ociekającą wodą komórkę, dociera do mnie dwuznaczność tego wyrażenia.

Spanikowana, biegnę do kuchni, łapię ręcznik papierowy i kładę na nim telefon, po czym w rekordowym tempie myję ręce.

– Ryż. Wiem, że mam gdzieś ryż. Ale gdzie... – Jem ryż zdecydowanie zbyt rzadko, ale zawsze mam trochę w domu, w razie gdyby naszła mnie ochota.

Otwieram szafkę, odsuwam na bok makaron i cukier, kilka konserw i... jest! Z ulgą wyciągam ostatnie opakowanie, wysypuję jego zawartość do jednej z niewielu czystych misek i wkładam do niej telefon. Już po wszystkim, teraz tylko mogę mieć nadzieję, że ryż wyciągnie wilgoć i jutro komórka będzie działać.

Przez kilka sekund oddycham głęboko, potem zamykam oczy i chowam twarz w dłoniach.

Co za dzień.

Może to znak. Może powinnam z powrotem założyć pizamę i zostać w domu.

Na czoło opadają mi pojedyncze kosmyki włosów, kok przeszedł już do historii, a tusz znajduje się wszędzie, tylko nie na rękach, bo nieświadomie przetarłam dłonią oczy. Tak, może powinnam zostać w domu. Ale w sumie mam teraz ochotę na zjedzenie czegoś naprawdę smacznego...

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca